

SIERGIEJ LEBIEDIEW

Ludzie sierpnia

Rozdział dziesiąty

Pod wieczór dotarliśmy do byłej kolonii. Był zachód słońca, jeden z tych zachodów w tajdze, które na kliszy zdjęciowej wyglądają zwyczajnie, ale na żywo stają się przepowiednią. Gęsto czerwone słońce chowało się za chmurami, które przybrały szkarłatną barwę, jego ostatnie promienie padały na stare wyrobisko, gdzie wydobywano różowy kwarc. Mętne cukrowe bryły na krańcach były prześwietlone na wylot i wydawało się, że to ogromne kawałki ciała. Do skraju wyrobiska prowadziły szlauchy pomp, tutaj ponownie zostało uruchomione wydobycie.

W kolonii paliło się światło elektryczne. Niektóre baraki były zrujnowane, niektóre podłatano, wokół nich rozciągał się drut kolczasty, a wzdłuż drutu biegały owczarki przypięte za obroże do cienkiej metalowej struny. Wiatr wiał w naszą stronę, psy nie wyczuły obcych, od baraków śmierdziało stęchłym mięsem, spalenizną, dymem, lecz psy mimo wszystko były niespokojne, przebiegały z miejsca na miejsce, naprężając smycze.

Całą piątką zebraliśmy się w jednym miejscu. Mars sięgnął po lornetkę i długo obserwował kolonię. Ponownie zagospodarowana działka była niewielka, raptem trzy baraki i mały domek. Kirył pokazał, gdzie

nocuje Psi Car, gdzie przetrzymuje więźniów, gdzie przechowuje swoją dubeltówkę. Stał z boku, nie mieszał się do rozmowy, aż nie zostanie poproszony.

– Nie ma przewodów – powiedział Musa. – Może używają generatora?

– Pompy, które są w wyrobisku, mogą działać na olej – powiedział Dżalil. – Pewnie olej napędowy palą.

– Skąd tutaj olej napędowy? – nieprzyjaznym tonem zapytał Mars. – Z nieba leci?

– Popatrz na prawo od wieży strażniczej – odpowiedział Dżalil.

Lornetka przechodziła z rąk do rąk. Na prawo od wieży ciemniały wkopane w ziemię trzy kolejowe cysterny. Widocznie kiedyś je tu przywieziono śmigłowcem, a teraz nowi mieszkańcy kolonii zużywali stare zapasy paliwa.

– Wybacz. – Mars pchnął ramieniem Dżalila. – Poniosło mnie. Ale mimo wszystko to dziwne.

Od strony kolonii zerwał się silny podmuch wiatru. Przyniósł zapach, który w tych stronach wydawał się niemożliwy – zapach świeżo wypiekanego chleba. Nagle odniosłem wrażenie, że cała ta sytuacja to przedziwna pomyłka, możemy zostawić broń i śmiało iść do przodu, a tam czeka na nas schronienie, nocleg, coś wyjątkowo bliskiego, do czego byliśmy przyzwyczajeni od urodzenia, w czym wyrosliśmy, co jest częścią nas.

Próbując zrozumieć, skąd wzięły się te uspokajające przebłyski podświadomości, przypomniałem sobie, jak pewnego wieczoru szedłem obok piekarni. Zapadał

zmierzch, była jesień. W takie wieczory szczególnie intensywnie czujesz, że w domu nikt na ciebie nie czeka. To wrażenie sentymentalne, lecz bardzo dojmujące, sieroce, włóczęgowskie. I nagle zza muru intensywnie i słodko zapachniało chlebem. Podniosłem głowę – to była piekarnia, niska, ceglana, trochę podobna do więzienia lub koszarów. Zapach docierał zza muru gęsto oplecionego drutem kolczastym.

Zapach chleba i ostre druciane kolce – jak całość, której nie da się rozdzielić, przygnębiające uczucie powinowactwa.

Oto właśnie jest *radzieckość*, jej istota, jej cielesny wymiar – pomyślałem, spoglądając na kolonię, już odrywając się od złudzenia. Gdy od strony kolonii zapachniało chlebem, wszyscy poczuliśmy to samo, widziałem na twarzach moich kompanów. To znaczy, że to już w nas pozostanie. Nie *komunizm*, w którym dostrzegano główne zagrożenie, lecz *radzieckie* sentymentalne dziedzictwo będzie żyło nawet w podświadomości Musy, Dżalila i Daniły.

Trzeba było pozwolić wygrać wybory komunistom, a oni później pokonaliby samych siebie, zużyliby się i zniknęli na zawsze. To nie w nich tkwi zagrożenie, lecz w połączeniu drutu kolczastego i zapachu chleba, które nawet bojowców wprowadza w stan błęgiego odrętwienia. Takie obrazy cechują się długim okresem rozkładu, ideologiczne obrazy rozkładają się szybko, a te – nie. One żyją dłużej, ponieważ nie potrzebują idei, symboli, w znacznym

stopniu są częścią nastroju, nie zaś uczuć. I one jeszcze powrócą, ponieważ nigdzie nie odeszły.

Przedemną leżała ciemna kolonia, ze słabym światłem przebijającym z paru okien, i ohydna z powodu sylwetek przekrzywionych wież strażniczych. Powiniennem czuć obrzydzenie, ale nie – czułem zapach chleba i w moim wnętrzu budziły się pozytywne emocje.

– Pójdziemy rano – powiedział Mars, który, jak się wydaje, też próbował wyrwać się z otumanienia. – Od strony bagna nadciągnie mgła. Ona przytępi psom węch.

Rano pozostawiliśmy Kirilla przywiązanego do drzewa, żeby później po niego wrócić.

Wczesny, typowy dla północnego regionu świt ubarwił różem kłęby mgły od strony jeziora i zśliśmy w migoczącej zawieszynie. Pod nami oddychało bagno, poruszała się warstwa mchu, lodowe krople osiadały na skórze i broni, za plecami nad lasem wschodziło słońce. Świt przeciął wszystkie nocne wątpliwości i diabelskie sztuczki, chłód rosy pobudzał do działania. I przez głowę przeszła mi tylko jedna myśl – że wszystkie wojny nieprzypadkowo zaczynają się o świcie – ten, kto napada, czuje się młody i nieśmiertelny, działa w nadziei na przeciągnięcie czasu. Gdy podeszliśmy do ogrodzenia, Musa przeciął drut kolczasty i stanęliśmy na cudzej ziemi.

Mgła zaczęła znikać. Cztery psy wyczuły intruzów i nadbiegły z różnych stron – Musa i Dżalil je zastrzelili. Kule pozostawiły mleczny ślad, rozwiewając w locie mglistą zawieszinę.

Mignął pies, mleczne trasy dopadły go, jeszcze jeden cień, i znów mleczne przerywane linie trafiają w tamtą stronę. Musa zmienia magazynek, Dżalil osłania, Mars macha ręką: „za mną”. Nadbiegają psy, siedem naraz, Mars strzela do nich z marszu, a następnie – oto, co za plecak taszczył ze sobą Dżalil! – z boku, przegryzając, niszcząc mgłę, rozprzestrzeniając się groźnymi kłębami, uderza jęzor płomienia z niesionego na plecach miotacza ognia.

Dymi spalona trawa, skomlą psy, Mars krzyczy do mnie: „Ruszaj!” i zaczynamy biec, miotacz ognia jakby od niechcienia, powoli dosięga wież strażniczych, baraków, słycać trzask suchego drewna, ogień ocieka po belkach, po dachach, Musa strzela z rakiety, kule fosforyzujące lecą rozchodzącym się łukiem, wybucha pożar, a wraz z nim w środku zapala się coś strasznego, pradawnego. Jest nas tylko pięciu, lecz przyszliśmy od strony wschodzącego słońca, a z nami siła nadchodzącego poranka, jesteśmy nieposkromieni, dopóki słońce zмага się z mgłą, wypełniając ją zachwycającym jarzeniem, doszliśmy, odnaleźliśmy, jesteśmy oczyszczającym ogniem.

Płomienie nad barakami sprawiają, że wyparowuje mgła, odkrywając różowiejące niebo. Ogień – moskiewski ogień, w którym nieraz płonęła stolica, a my jesteśmy jej posłańcami, spalimy tutaj wszystko, co śmiało rzucić jej wyzwanie, co jest nędzne i lokalne. Jedna władza, jedna siła, jedna sława, jedno państwo, jeden kraj!

Ogień, ten ogień, którego czujnie strzegą moskiewskie wieże obserwacyjne straży ogniowej w Sokolnikach, w dzielnicy Sokoł, na Awiamotornej i w Pietrowskim Projedzie – to on! Śpi, lecz trzeba go strzec, ponieważ może uciec, wybuchnąć od przypadkowej zapałki, od toczącego się rozżarzonego węgielka.

Ogień – Moskwa oczyszcza się w nim i odradza jak feniks, w nim rozpada się i ponownie powstaje państwo, dla stolicy ten pożar nie oznacza zguby. A wszystko, co nie jest Moskwą, ginie w nim ostatecznie. Tylko bagienny, nadmorski Sankt Petersburg zachowuje niezależność wobec moskiewskiego ognia, w nim panuje inny żywioł – powódzie. Tyle razy, ile płonęła Moskwa, tyle razy zalewało Piter. Ogień i woda – dwie substancje dwóch stolic, ich dwa alchemiczne początki. Tutaj, pośród fińskich jezior, woda jest silna, lecz ziemi jest więcej – i ogień pokona wodę!

Jakże mocno poczułem się moskwianinem – dzięki wrażliwości na pierworzodny żywioł swojego miasta. Wyobraziłem sobie nawet, że w piwnicy Kremla stała kiedyś pozłacana klatka z wyjątkowymi kogutami, które zastępowały moskiewskiemu władcy salamandry. Car wysyłał czerwone koguty, podstępny dar, do Nowogrodu, do Kazania – i miasta płonęły, przechodząc pod moskiewską władzę.

Przypomniałem sobie czerwoną, ognistą cegłę Kremla, ośrodka władzy, płomień soboru Wasyla Błogosławionego nad czarnym jak węgiel brukiem placu Czerwonego.

Czerwoni – my byliśmy czerwoni, szkarłatni, szkarłatne słońce świeciło nam w plecy, trzem Tatarom i dwóm Rosjanom, którzy przybyli do północnej krainy. Czerwoni! Poczujęm, że bolszewicy zwyciężyli dzięki samemu wyborowi koloru, odradzającemu pamięć o starym odbudowującym pożarze Moskovii, który rodzi nowe życie. Pamięć o tym, że okropność tego ognia ratuje przed inną okropnością – bezpieczeństwa bytem, historycznym mrokiem. Nieśliśmy to w sobie, nie byliśmy bolszewikami, ale byliśmy tacy sami jak oni.

Nikt nie strzelał w odpowiedzi. Daniła wyłamał drzwi najbliższego baraku, zamachał ręką: „tutaj, tutaj”. Od strony drzwi, mimo wydobywającego się zewsząd gęstego dymu, który zaburzał węch, zalaływało duszącym smrodem, w środku było prawie ciemno, okna były zabite mocnymi osłonami i w ciemności, jak robaki – trudno było dojrzeć, gdzie zaczyna się jedna istota i kończy następna – klębili się ludzie.

Było ich około trzydziestu: bezdomni, włóczędzy, złodziejaszki – wszyscy wyłapani przez Psiego Cara. Nie chcieli wyjść z baraku, przykrywali się łachmanami, wchodzili pod prycze. My, którzy przyszliśmy, by ich uwolnić, którzy zabiliśmy psy, wydawali się im niewiarygodnie groźnymi istotami, złymi duchami. Tylko jeden starzec – pewnie złodziej – wysuszony, poskręcany, jakby każdego dnia wyżymano go jak ręcznik, wyszedł do nas bez najmniejszego lęku, poprosił o papierosa, zaciągnął się w zamyśleniu i powiedział:

– Kucharki nie ruszajcie, ona nie ma z tym nic wspólnego. – I ponownie się zaciągnął, jakby spłacił dług i dalej mógł już przyglądać się wszystkiemu z obojętnością.

– Szukajcie Cara – krzyknął Mars, ignorując słowa o kucharce. – Szukajcie Cara!

Zabrzmiało to bardzo naturalnie: „Szukajcie Cara!”. Teraz byliśmy spiskowcami, carobójcami, a nie posłańcami stolicy, którzy ścigają samozwańca. Zupełnie jakbyśmy zostali pozbawieni ochrony, aureoli czerwonego poranka. Wtem rozległ się wystrzał, Dżalil się wyprostował, jakby został uderzony kowalskim młotem w ramię. Mars odruchowo puścił serię z automatu po ceglastym jednopiętrowym domku, na który wcześniej nie zwróciliśmy uwagi, Musa podbiegł do Dżalila, podchwycił rannego kolegę, zaciągnął za kłody drewna, żeby go opatryć.

W miotaczu ognia wyczerpała się butla, zostało niewiele amunicji, zaledwie jeden magazynek na czterech. A Psi Car siedział w dogodnym miejscu, zabite deskami zewnętrzne okna domku nie pozwalały ustalić, gdzie dokładnie się znajduje. Każdego, kto spróbowałby podbiec pod ścianę domku, mógł zastrzelić przez szczelinę. Prawdopodobnie miał gwintowany karabin, a nie, jak twierdził Kiriłł, strzelbę myśliwską, i potrafił się nim posługiwać – potwierdzała to rana Dżalila.

– Czekamy do zmroku – rozkazał Mars. – Dżalil, idź do Kiriłła! Dubeltówka, tak? Wy tłumacz mu, co go czeka za kłamstwo!